

Dominik Szklarz 1bdT

"Jak Chrobry Nauczył Rycerzy Kultury (Albo i Nie)"

Za czasów Bolesława Chrobrego, gdy Polska dopiero uczyła się nie wchodzić na drzewa w zbroi, rycerstwo miało swoje priorytety. Było to: walczyć, jeść, walczyć, jeść jeszcze więcej, a na końcu rzucić kością z kurczaka przez ramię – na szczęście albo w głowę sąsiada. O manierach nikt nie słyszał, bo kto miał czas na widelce, kiedy w zasięgu ręki była beczka miodu i dzik prosto z rożna?

Chrobry jednak wiedział, że władza to nie tylko miecz, ale i reputacja. A ta kulała i to bardziej niż rycerz po nieudanej walce z kozami w stajni. Wieść o burackich obyczajach Polaków dotarła aż do Czech. Księżę czeski miał czelność wysłać list, w którym napisał:

„Polaku, co ci z korony, skoro łyżkę widziałeś co najwyżej w snach?”

Król przeczytał te słowa i zrobił się czerwony na twarzy jak wieprz w piecu. Posłał za posłańcem kilku wojów, by wytłumaczyli mu różnicę między dyplomacją a pluciem w twarz, ale to nie wystarczyło. Musiał coś zrobić. Zwołał więc swoich rycerzy na naradę.

Rycerze, jak to rycerze, przyszli, jak stali – czyli w połowie zbroi, z resztkami obiadu na hełmach i zębami oblizującymi się po ostatniej kiełbasie. Jarosław z Gniezna miał na tarczy ślad kaszy, a Sieciech z Poznania niósł miskę zupy, jakby obawiał się, że król może mu ją zjeść.

– Moi wojowie – zaczął Chrobry, wstając z tronu i patrząc na nich tak, jak ojciec patrzy na dzieci, które właśnie oblały sąsiadów błotem. – Wiecie, co o nas mówią? Że Polak je jak dzik i pije jak stado wikingów po tygodniowej imprezie. W Czechach powiadają, że nawet z łyżki korzystać nie potrafimy.

Rycerze zaczęli wrzeszczeć z oburzenia. Jeden, zwany Sieciechem, krzyknął: – Niech jakiś Czech mi to powie w twarz, to mu pokażę, jak używam łyżki – prosto w oko!

– Właśnie! Niech tylko się pokażą na naszej ziemi, to ich nauczymy manier! – wykrzyczał Dobrosław.

Władca widząc ich gniew pospieszył z ogłoszeniem.

– Rozumiem i dzielam wasze oburzenie. Myślę, że rozumiecie, iż nie możemy sobie pozwolić na taki status. By temu zapobiec, ogłaszam Turniej Dworskich Obyczajów!

Rycerze spojrzeli na siebie.

– Dworskich... co? – zapytał Sieciech, drapiąc się łyżką po uchu.

– Obyczajów, idioto! – syknął Jarosław.

Król uderzył pięścią w stół.

– Kto wygra, dostanie złoty puchar i beczkę najlepszego miodu. A kto przegra, przez trzy dni sprząta stajnię z kozą!

Tu zapadła martwa cisza. Koza króla była sławna – gryząc, goniąc i niszcząc wszystko, co popadnie. Wielu rycerzy wołało stawić czoła hordzie barbarzyńców niż tej rogatej bestii.

Rozpoczęły się przygotowania. Sieciech, znany z tego, że kiedyś próbował jeść nóż zamiast używać go do krojenia, pożyczył od żony garnek do ćwiczeń. Jarosław trenował jedzenie zupy łyżką, choć większość wylewał na siebie, a Ziemowit próbował nie mlaskać – co skończyło się tym, że zasnął nad talerzem.

– Dobrosław, a ty co? – zapytał Sieciech, widząc, że ich kolega nic nie robi.

Dobrosław wzruszył ramionami.

– Uczę się od zwierząt. One wiedzą, jak zachować harmonię.

– Zwierząt? – parsknął Jarosław. – Wilki cię nauczą kultury? Powodzenia!

Dobrosław jednak zniknął w lesie, zostawiając kolegów z ich garami, łyżkami i łzami frustracji.

Wreszcie nadszedł wielki dzień. Na dziedzińcu ustawiono długi stół. Na nim spoczywały miski zupy, pieczone kurczaki, owoce i eleganckie kielichy. Król zasiadł na tronie, z brodą wypielęgnowaną jak nigdy. Tłum zebrał się, by zobaczyć, czy ich wojowie dadzą radę zachować się jak ludzie, czy jak... no cóż, Polacy.

Pierwszy do stołu podszedł Jarosław. Wziął łyżkę, spojrzął na zupę i zaczął powoli jeść. Wszystko szło dobrze, dopóki nie chciał zrobić wrażenia na

publiczności i zamarzył o „eleganckim” ruchu. Chciał zakreślić łyżką w misce, ale zupa wylądowała na jego twarzy. Tłum wybuchnął śmiechem.

– Jarosławie – powiedział król z rezygnacją – masz twarz jak mapa Europy po ulewie.

Następny był Sieciech. Podszedł do stołu, wziął kurczaka i zjadł go, używając noża i widelca. Wszystko szło idealnie, dopóki nie podniósł kielicha wina. Chciał wznieść toast, ale zamiast powiedzieć coś mądrego, kichnął prosto w kielich. Publika ryknęła, a król schował twarz w dłoniach.

– Zdrówko! – zawołał ktoś z tłumu.

W końcu przysła kolej na Dobrosława. Wszyscy spodziewali się katastrofy – w końcu on nawet nie ćwiczył! Tymczasem Dobrosław podszedł spokojnie, usiadł, wziął widelec i nóż, zjadł kurczaka tak cicho, że nikt nie wiedział, kiedy to zrobił. Na koniec wypił wino, wznosząc toast:

– Za naszego króla, którego wasy są tak wspaniałe, że same mogłyby rządzić Polską!

Tłum oniemiał. Król aż spadł z tronu.

– Dobrosławie, skąd ty to wszystko umiesz?!

Dobrosław uśmiechnął się lekko.

– Obserwowałem wilki. One wiedzą, że harmonia w stadzie to podstawa. A wy, moi przyjaciele, jesteście gorsi od dzików w burzy.

Wszyscy zaczęli bić brawo, a Dobrosław dostał złoty puchar i beczkę miodu. Reszta rycerzy została odesłana do stajni.

– To przez tę głupią kozę! – narzekał Sieciech, próbując wyrwać swój but z jej pyska.

Król patrzył na to wszystko z okna i tylko się uśmiechał.

– No cóż, chociaż Dobrosław wie, że Polska to coś więcej bójki i niechlujne jedzenie. Na resztę przyjdzie czas... albo i nie.